

Percival
Everett

JAMES

PRZEŁOŻYŁA **KAJA GUCIO**

MARGINESY

James

COPYRIGHT © 2024 BY Percival Everett

POLISH TRANSLATION RIGHTS ARRANGED WITH Melanie Jackson Agency, LLC
THROUGH AJA Anna Jarota Agency

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Kaja Gucio

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,
Warszawa 2025

ROZDZIAŁ 1

TE MAŁE GNOJKI chowały się w wysokiej trawie. Do pełni jeszcze trochę brakowało, ale księżyc świecił jasno, a oni mieli go za plecami, więc widziałem ich jak na dłoni, choć dawno zapadł wieczór. Na czarnym tle błyskały świetliki. Czekałem pod kuchennymi drzwiami panny Watson i stopą kołysałem obluzowany stopień, wiedząc, że jutro ona każe mi go naprawić. Czekałem, aż poda mi blachę chleba kukurydzianego, który upiekła według przepisu mojej Sadie. Życie niewolnika upływa głównie na czekaniu, czekaniu i jeszcze raz czekaniu. Czekaniu na polecenia. Czekaniu na jedzenie. Czekaniu na kres dnia. Czekaniu na sprawiedliwość i zasłużoną chrześcijańską nagrodę u kresu tego wszystkiego.

Ci biali chłopcy, Huck i Tom, uważnie mi się przyglądali. Ciągłe bawili się w jakieś podchody, a ja bywałem w tych grach albo złoczyńcą, albo ofiarą, ale zawsze ich zabawką. Teraz harowali tam wśród komarów i innego robactwa, ale do mnie nie zbliżyli się ani na krok. Warto dawać białym to, czego chcą, więc wyszedłem na podwórko i zawołałem w noc:

– A kto sie tak po ćmoku tłucze?

Chłopcy poruszyli się niezdarnie, zachichotali. Nie zdołaliby podkraść się do głuchego ślepeca w trakcie występu kapeli. Wolałbym już raczej marnować czas na liczenie świetlików niż na zawracanie sobie nimi głowy.

– Wezne chyba i siende se na ganku, coby baczenie mieć na te hałasy. Może to jaki stary diabeł czy insza wiedźma. Lepiej mi tu zostać. – Usiadłem na najwyższym stopniu i oparłem się plecami o słup. Byłem zmęczony, więc zamknąłem oczy.

Chłopcy szeptali coś żywo do siebie, a ja ich słyszałem wyraźnie jak kościelne dzwony.

– Śpi już? – zapytał Huck.

– Chyba. Podobno czarnuchy zasypiają o tak – odparł Tom i pstryknął palcami.

– Ciii – uciszył go Huck.

– Ja bym go przywiązał – odezwał się Tom. – Do tego słupa na ganku, co go ma za plecami.

– Nie – odparł Huck. – A jak się ocknie i narobi rabanu? Zraz się wyda, że wyszedłem, zamiast w łóżku grzecznie leżeć.

– Dobra, ale wiesz co? Potrzeba mi paru świec. Zakradnę się do kuchni panny Watson i wezmę trochę.

– A jak obudzisz Jima?

– Nikogo nie obudzę. Czarnucha to nawet i grzmot nie zbudzi. Nic nie wiesz? Ani grzmot, ani błyskawica, ani ryk lwa. Słyszałem o takim, co przespał trzęsienie ziemi.

– Ciekawe, co to za uczucie, jak się ziemia trzęsie – zastanawiał się Huck.

– Coś jak wtedy, gdy tatko cię budzi w środku nocy.

Chłopcy skradali się na czworakach, nieporadnie i dość hałaśliwie, po skrzypiących deskach ganku, a potem przez dwuskrzydłowe drzwi weszli do kuchni panny Watson. Słyszałem,

jak grzebią w szafkach i szufladach. Miałem zamknięte oczy i nie zważałem na komara, który wylądował mi na ręce.

– O, mam – oznajmił Tom. – Tylko trzy biorę.

– Nie możesz świsnąć staruszce świeczek – stwierdził Huck. – To kradzież. A co, jak pomyśla, że to Jim?

– No to zostawię jej pięć centów. Starczy w zupełności. Niewolnika nikt nie będzie podejrzewał. Niby skąd niewolnik by wziął pięć centów? Dobra, czas stąd pryskać, bo jeszcze ona tu przyjdzie.

Chłopcy wyszli na ganek. Nie przypuszczam, by zdawali sobie sprawę z tego, ile hałasu narobili.

– Trzeba było coś jej napisać – stwierdził Huck.

– Nie trzeba – odparł Tom. – Pięć centów wystarczy.

Czułem na sobie wzrok chłopców. Nie ruszałem się.

– Co ty wyprawiasz? – zapytał Huck.

– Zrobię Jimowi psikus.

– Obudzisz go, i tyle.

– Cicho bądź.

Tom stanął za mną i złapał za rondo mojego kapelusza.

– Tom – jęknął Huck.

– Ciii... – Tom zdjął mi kapelusz z głowy. – Powieszę to na gwoździu.

– A niby po co? – zapytał Huck.

– Jak się Jim obudzi, pomyśli, że to sprawka więdźmy. Szko-
da tylko, że nas przy tym nie będzie.

– Dobra, już wisi na tym gwoździu, a teraz spadajmy – po-
naglił go Huck.

Z wnętrza domu dobiegły jakieś szmery i chłopcy ruszyli biegiem, galopem skręcili za róg, aż podniósł się kurz. Słysza-
łem, jak ich kroki cichną w oddali.

Ktoś był teraz w kuchni, przy drzwiach.

– Jim?

Panna Watson.

– Tak, psze pani?

– Spałeś?

– Nie, psze pani. Urobił żem sie mocno, ale śpiak mnie nie zmorzył.

– Byłeś w mojej kuchni?

– Nie, psze pani.

– A czy ktoś był w mojej kuchni?

– Nic żem nie widzioł, psze pani. – To akurat była szczera prawda, bo przez cały czas miałem zamknięte oczy. – Nikoguchno w paninej kuchni ja żem nie widzioł.

– No dobrze, masz ten chleb kukurydziany. Możesz powiedzieć Sadie, że jej przepis mi się spodobał. Wprowadziłam kilka zmian. Wiesz, żeby go trochę uszlachetnić.

– Tak, psze pani, powim jej.

– Nie widziałeś Hucka? – zapytała.

– Widział żem, ino chwile nazad.

– Jak dawno?

– Chwile.

– Jim, zadam ci teraz pytanie. Czy byłeś w gabinecie bibliotecznym sędziego Thatchera?

– Gdzie?

– W jego bibliotece.

– Pani sie rozchodzi o te izbe z ksionszkami?

– Tak.

– Nie, psze pani. Ksionszki żem widzioł, ale do izby za nic bym nie wszed. A czemu sie pani pyta?

– Sędzia mówi, że jakiejś książki nie ma na półce.

Roześmiałem się.

– A na co mnie niby ksionszka?

Ona też się zaśmiała.

CHLEB KUKURYDZIANY BYŁ OWINIĘTY w cieniutką ścierekę i musiałem ciągle przekładać go z ręki do ręki, bo parzył. Zastanawiałem się, czy nie spróbować, bo byłem głodny, ale chciałem, żeby pierwsze kęsy przypadły Sadie i Elizabeth. Gdy przekroczyłem próg, Lizzie podbiegła do mnie, węsząc jak ogar.

– Co tak pachnie? – zapytała.

– Pewnie ten chleb kukurydziany – odparłem. – Panna Watson upiekła go według specjalnego przepisu twojej mamy, rzeczywiście pachnie wyśmienicie. Poinformowała mnie jednak, że wprowadziła kilka zmian.

Sadie podeszła bliżej i pocałowała mnie w usta. Pogłodziła mnie po twarzy. Cała była miękka, miała miękkie wargi, ale dłonie równie szorstkie jak moje od pracy w polu, choć wciąż delikatne.

– Jutro odniosę jej tę serwetkę. Biali zawsze pamiętają takie rzeczy. Przysięgam, że codziennie poświęcam sporo czasu na liczenie serwetek, łyżek, filiżanek i tym podobnych.

– Szczera prawda. Pamiętasz, jak zapomniałam odstawić grabie do szopy?

Sadie położyła chleb kukurydziany na pniaku, który służył nam za stół. Pokroiła go. Podała Lizzie i mnie po kromce. Ugryzłem kęs, Lizzie też. Popatrzyliśmy na siebie.

– Ale przecież tak ładnie pachnie... – odezwało się dziecko.

Sadie odkroiła kawałek i włożyła go do ust.

– Przysięgam, ta kobieta ma talent do niegotowania.

– Czy muszę to zjeść? – zapytała Lizzie.

– Nie, nie musisz – odparła Sadie.

– Ale co odpowiesz, kiedy cię o to zapyta? – wtrąciłem.

Lizzie odchrząknęła.

– Panienko Watson, to najlepszy chleb kurydziany, jaki żem w życiu jadła.

– Spróbuj „co żem jadła” – zasugerowałem. – To poprawna niepoprawna forma gramatyczna.

– To najlepszy chleb kurydziany, co żem w życiu jadła – powiedziała.

– Bardzo dobrze – pochwaliłem.

W drzwiach naszej chaty pojawił się Albert.

– James, wychodzisz?

– Zaraz przyjdę. Sadie, nie masz nic przeciwko?

– Nie, idź – powiedziała.

WYSZEDŁEM NA ZEWNĄTRZ i skierowałem się do dużego ogniska, przy którym siedzieli mężczyźni. Przywitano mnie, a potem usiadłem. Rozmawialiśmy trochę o tym, co stało się z uciekinierem z innej farmy.

– Tak, mocno go poturbowali – powiedział Doris. Doris był mężczyzną, ale to nie miało znaczenia dla zniewolicieli, gdy nadawali mu imię.

– Wszyscy pójdą do piekła – orzekł Stary Luke.

– Co ci się dzisiaj stało? – zapytał mnie Doris.

– Nic.

– Coś musiało się stać – zauważył Albert.

Czekali, aż opowiem im jakąś historię. Najwyraźniej miałem do tego smykałkę.

– Nic, tyle tylko, że zaniósł mnie dzisiaj do Nowego Orleanu. Poza tym nic się nie wydarzyło.

– Co takiego? – zapytał Albert.

– No tak. Widzicie, około południa zdawało mi się, że zapadam w błogą drzemkę, a potem okazało się, że stoję na gwarnej ulicy, a wokół mnie pełno powozów zaprzężonych w muły.

– Zwariowałaś – rzucił ktoś ze zgromadzonych.

Kątem oka dostrzegłem, jak Albert daje mi sygnał na ostrzeżenie, że w pobliżu są biali. Potem usłyszałem niezgrabne ruchy w krzakach i już wiedziałem, że to ci chłopcy.

– Najsampierw patrze, a tu mój kapelusz na gwoździu wisi. „Ja zem go tam nie wsadził”, myślę se. Jak on tam sie dostał? I jużem poznał, że to sprawka wiedźm. Żadnej zem na oczy nie widzioł, ale to une były, a juści. A jedna wiedźma, ta, co mi kapelusz porwała, to wzięła i aż do Norelanu mnie wyprawiła. Dacie wiare?

Zmiana wymowy i słownictwa zwróciła uwagę reszty słuchaczy na obecność białych chłopców. Tak więc mój popis na ich użytek posłużył mi za ramę dla opowieści. Moja historia stała się w mniejszym stopniu bajką, podczas gdy prawdziwa gra zamieniła się w widowisko dla Hucka i Toma.

– Nie gadej – odezwał się Doris. – Z wiedźmami nie warto zadzierać.

– Co racja, to racja – dodał inny mężczyzna.

Słyszeliśmy chichot chłopców.

– No to jestem w tym Norelanie i wiecie co? – ciągnąłem. – Podchodzi do mnie znachor i się pyta: „A ty tu czego w tym mieście?”. Mówię mu, że pojencia ni mom, jak zem tam trafił. I wiecie, co un mi na to rzeknie? Wicie?

– Co, Jim? – zapytał Albert.

– Un mi na to, że ja, Jim, to wolny człek. Że tera to już nikomu za czarnucha nie bede robił.

– Boziu, Boziu, zlituj się nad nami – krzyknął Chudy, kowal.

– Diabeł prawi dalij, że moge se tam na ulicy kupić, czego dusza zapragnie. Że jakbym kcioł, to i whisky moge dostać. Co wy na to?

– Whisky to diabelski trunek – oznajmił Doris.

– Nieważne – odparłem. – Całkiem nieważne. Un mówi, że jakbym kcioł, to moge się napić. Wszystko inne też moge. Ale to nieważne.

– A to czemu? – zapytał jakiś mężczyzna.

– Pierw, bo żem tam trafił przez tego diaboła, un mie tam ściongoł. To tak na niby ino było, we śnie. A po prawzie to i pi-nienzy żem nie mioł. Taka to prosta sprawa. Na to diabeł jak nie pstryknie brudnymi paluchami i szast-prast nazad mie odesłał.

– Czemu to zrobił? – zapytał Albert.

– Bo w Norelanie nie wpakujesz sie w tarapaty, jak pinien-dzy ni mosz, czy ci sie to śni, czy nie – odparłem.

Mężczyźni się roześmiali.

– Aliści, tak żem i jo słyszol – odezwał się jeden z nich.

– Czekałta – powiedziałem. – Cosik mi sie zdaje, jakby tam diabeł w krzokach sie telepoł. Da mi który żagiew, to popalim zarośla. Wiedźma i diabeł ognia się boi. W ogniu raz-dwa się topi jak masło na patelni.

Wszyscy się śmialiśmy, słysząc, jak biali chłopcy pędem rzucają się do ucieczki.

PO TYM, JAK ZESZŁEGO wieczoru nastąpiłem na skrzypiące deski, wiedziałem, że panna Watson każe mi je poprzybijac i naprawić poluzowany stopień. Zaczekałem do rana, żeby nie obudzić białych. Potrafili spać jak mało kto i wiecznie narzekali, że budzą się za wcześnie, choćby nie wiem jak było późno.

Huck wyszedł z domu i obserwował mnie przez kilka minut. Kręcił się wokół, jak to miał w zwyczaju, gdy coś zaprzętało mu myśli.

– A ty czemu tak sam, bez kolegi? – zapytałem.

– Chodzi ci o Toma Sawyera?

– Tak mu chyba na imię.

– Bodaj jeszcze śpi. Pewno całą noc napadał na banki, po ciągi i takie tam.

– Taki z niego bandyta, co?

– Podobnież, on tak mówi. Ma trochę grosza, to kupuje książki i ciągiem czyta o przygodach. Czasami sam nie wiem, co o nim myśleć.

– Jak to?

– No, na przykład znalazł taką jaskinię, idziemy tam i spotykamy się z innymi chłopakami, ale jak wchodzimy, to on musi być szefem.

– Tak?

– A wszystko przez to, że się naczytał książek.

– I to cie uwiera? – zapytałem.

– Dlaczego tak się na to mówi?

– A próbował żeś kiedy przejść kawałek drogi z kamykiem w bucie? Niby da rade, ino cały czas człowiekowi działa na nerwy.

– Rozumiem.

– Wygląda na to, że czasami trza sie dogadać z kumplami, i tyle. Som, jacy som.

– Jim, ty obrabiasz muły i naprawiasz koła od wozów, a teraz jeszcze reperujesz ganek. Jak się tego wszystkiego nauczyłeś?

Przerwałem pracę i spojrzałem na młotek w mojej dłoni, obróciłem go.

– Dobre pytanie, Huck.

– No to powiedz.

– Z konieczności.

– Co?

– Konieczności – poprawiłem się. – Konieczność jest, jak coś trza zrobić, i już.

– Bo inaczej co?

– Bo inaczej zabierem cie pod śłup i wychłuszczom albo zawlekcom nad rzekę i sprzedadzm. Ty se tym głowy nie musisz zawracać.

Huck spojrzał na niebo. Chwilę się nad tym zastanawiał.

– Ładnie, jak człowiek tak patrzy w niebo, a ono całe niebieskie. Ponoć niebieski ma różne nazwy. I czerwony, i inne takie. Ciekawe, jak mówią na taki niebieski.

– Jajko rudzika – odparłem. – A ty żeś kiedy widział jajko rudzika?

– Masz rację, Jim. To jak jajko rudzika, tylko że bez cętek. Skinąłem głową.

– Dlatego nie trza zważać na centki.

– Jajko rudzika – powtórzył Huck.

Siedzieliśmy tak dobrą chwilę.

– Co jeszcze cie gryzie? – zapytałem.

– Panna Watson chyba zwariowała.

Nic nie powiedziałem.

– Ciągłe gada o Jezusie, modlitwach i takich tam. Jezus Chrystus siedzi jej w głowie. Mówi, że całe to modlenie jest po to, żebym nauczył się żyć bezinteresownie. Co to, do cholery, znaczy?

– Nie bluzgaj mi tu tera, Huck.

– Gadasz jak ona. Ja nie rozumiem, po co mam niby prosić o coś tylko po to, żeby tego nie dostać i wyciągnąć naukę.

Jaki w tym sens? Równie dobrze mogę pomodlić się do tamtej deski.

Przytaknąłem.

– Kiwasz głową, że to ma sens czy że nie ma sensu?

– Ja ino kiwam głową, Huck.

– Otaczają mnie wariaci. Wiesz, co zrobił Tom Sawyer?

– Powiedz mi, Huck.

– Kazał nam złożyć krwawą przysięgę, że jak któryś zdradzi tajemnicę bandy, to zabijemy całą jego rodzinę. Czy to nie wariactwo?

– Jak sie składa krwawą przysięgę? – zapytałem.

– Trzeba rozciąć sobie rękę nożem i podać ją reszcie, a oni robią to samo. No wiesz, żeby krew się wymieszała i połączyła. Wtedy jesteście braćmi krwi.

Spojrzałem na jego ręce.

– Myśmy napluli. Tom Sawyer powiedział, że to będzie to samo i jak niby mamy obrabować bank z pociętymi rękami. Jeden chłopak się popłakał i mówił, że o wszystkim powie, ale Tom Sawyer dał mu pięć centów, żeby siedział cicho.

– A ty mi tera nie zdradzasz waszych sekretów? – zapytałem.

Huck zamilkł na chwilę.

– Ty to co innego.

– Bo jestem niewolnikiem?

– Nie, to nie tak.

– To o co sie rozchodzi?

– Jesteś moim przyjacielem, Jim.

– Dzięki, Huck.

– Nikomu nie powiesz, co? – Wpatrywał się we mnie z niepokojem. – Nawet jeśli obrobimy ten bank. Nie powiesz, prawda?

– Umim dotrzymać tajemnicy, Huck. Waszej też nie zdradze.

Panna Watson podeszła do drzwi i syknęła:

– Jeszcze nie skończyłeś z tymi schodami, Jim?

– Jużem skończył, panno Watson – odparłem.

– To prawdziwy cud, skoro ten chłopak prawie zagadał cię na śmierć. Huckleberry, wracaj do domu i pościel łóżko.

– I tak je dzisiaj znowu rozwałę – odrzekł Huck. Wcisnął ręce za pasek spodni i zakołysał się, jakby wiedział, że właśnie przekroczył pewną granicę.

– Jeszcze chwila i wyjdę tam do ciebie – ostrzegła kobieta.

– Do zobaczenia później, Jim. – Huck wbiegł do domu, wymijając pannę Watson bokiem, jakby unikał ciosu.

– Jim – odezwała się panna Watson, odprowadzając Hucka wzrokiem.

– Tak, psze pani?

– Podobno ojciec Hucka wrócił do miasta. – Przeszła obok mnie i spojrzała na drogę.

Skinąłem głową.

– Tak, psze pani.

– Miej oko na Hucka – powiedziała.

Nie wiedziałem, o co dokładnie mnie prosi.

– Tak, psze pani. – Odłożyłem młotek z powrotem do pudełka. – Psze pani, na co niby mam mieć oko?

– I pomóż mu strzec się tego Sawyera.

– Czemu mi to pani mówi?

Stara kobieta spojrzała na mnie, potem na drogę, a potem w niebo.

– Nie wiem, Jim.

Zastanowiłem się dobrze nad słowami panny Watson. Ten Tom Sawyer nie stanowił dla Hucka zagrożenia, ot, zwykły

mały człowieczek, który siedział mu na ramieniu i wygadywał brednie. Ale powrót ojca to już inna historia. Ten człowiek mógł być trzeźwy albo pijany, ale niezależnie od swojego stanu nieustannie tłukł biednego chłopaka.